

Rozdział dziewiąty

Biały jacht miarowo się kołysał, łagodnie się poddając uderzeniom regularnie napływających fal, a rozleniwiony Andres wystawiał do słońca pokryte opalenizną ciało. Jak długi leżał na pokładzie. Kapryśny los mu sprzyjał, bo szczęśliwym trafem znalazł się na środku rozległego Pacyfiku. I to gdzie? Na najbardziej czarownym skrawku lądu. Rozpłomienione dziewczyny i złote plaże były warte każdej ceny. Czy można było sobie wyobrazić wspanialsze wakacje? Księżyc nad osławioną Tahiti! Błądził apatycznie myślami po rysującej się w oddali Moorea. Nie byłby sobą, gdyby i tam nie wsadził nosa. Wymoszczony liśćmi tarua kamienny stół oferował delicje. Kosztował przyrządzonych z dużym smakiem ananasów, owoców mango, papaja, awokado i guanabana. Z zatoki Vaiare życzliwi szwedzcy turyści zabrali go na *Le Belvédère*, skąd rozciągał się wspaniały widok na dwie największe zatoki, Opunohu i Co-oka, rozdzielone malowniczym szczytem Rotui. W głąb wyspy można się było dostać tylko jeepem — ze względu na wyboiste i pocięte szerokimi potokami drogi. Mimo karkołomnej jazdy mógł podziwiać plantacje ananasów i kawy. Cieszyły go niepospolicie piękne kwiaty, dorodne paprocie i soczysta zieleń stoków górskich. Czuł ten jedyny i niepowtarzalny zapach tropikalnej dżungli.

Stukot o lewą burtę wyrwał go z rozkosznego półsnu. Po krótkiej chwili łomot się powtórzył, a chłopak uznał, że przyzwoitość każe mu się podnieść i sprawdzić, co dzieje się w wodzie. Musiał uważać, bo ta luksusowa łajba była warta kupę szmalu. A poza tym nie należała do niego. Przyszło mu do głowy, że trafił na zagubioną boję lub deskę do surfingu. Ludzie wrzucali do wody byle co, nie martwiąc się o to, co się potem stanie. Jednego był pewny. W tym miejscu nie było koralowca.

— Kapitanie, rusz pan dupsko! — ospale pogonił samego siebie.

Po przejściu przez wyłom w rafie, okalającej Tahiti zakotwił jacht nieco na północ od morskiej trasy na Moorea, nie oddalając się wszakże za bardzo od wyspy, a wiejący z prędkością 16 węzłów pasat spychał go na pełne morze. Nie groziło mu, że się na coś nadzieje.

— Co tam?! — prychnął, przechylając się przez barierkę. — Nie biorę nikogo stopem...

To nie była boja ani deska surfingowa. Unoszący się na wodzie przedmiot przypominał raczej dużą pękatą butlę, rodzaj antałka lub gąsiora na wino. Poprzedniego dnia nad portem Papeete przeszły dwa deszczowe szkwały, więc pewnie coś ze sobą przyniosły.

— He, ten Pacyfik to niezły śmietnik! — z błyskiem w oku zawyrokował.

Przypadkowe znalezisko od razu pobudziło jego wyobraźnię. Skojarzył je sobie ze skarbami dawnych piratów, którzy na tych morzach z powodzeniem uprawiali znienawidzone przez żeglarzy rzemiosło. Migiem skoczył po ukrytą pod pokładem dużą siatkę na ryby, potem zanurzył ją ostrożnie w wodzie i przechylając się oburącz wyciągnął na jacht zdobycz.

— *Frutti di mare?* — wymamrotał z dreszczem emocji w głosie. — Do diaska, ale mam fart. Szczęście mnie nie omija, najpierw ta łódź, teraz to...

Delikatnie ustawił butlę na pokładzie, obrywając z niej wodorośty i dziwiąc się, że wykonana z grubego szkła czasza wytrzymała lata konfrontacji z południowymi żywiołami. Była to niewątpliwie jakaś starość. Może miała ze sto lub z dwieście lat? Otwór dokładnie zabito korkiem, a przez ciemnozielony klosz nie było widać, co jest w środku. Sądząc jednak po wadze, znalezisko nie było puste. Oczyma wyobraźni ujrzał siebie z miną konesera degustującego stare wino, które zamieniło się już w uderzającą do głowy galaretę. Jeżeli przecucie go nie myliło, mógł liczyć na wielkie pijaństwo. A jeśli butla kryła złote monety lub cenną biżuterię? Zmysł praktyczny, którego mu nigdy nie brakowało, kazał mu natychmiast wymienić zawartość antałka na szeleszczące dolary.

— Sezamie, otwórz się! — pewny swego rozkazał, a potem nieufnie rozejrzał się dokoła. Nie był podejrzliwy, jednak przez

chwilę męczyła go myśl, że jakiś cwaniak podrzucił mu ten gąsior, a teraz śmieje się w kułak. Nic śmierdzącego jednak się nie szykowało. Na południu znaczyła się sporawa łódź zagłowa, zaś na zachodzie majaczył jacht podobny do tego, na którym sam zagościł. Nikt tam dociekliwie nie wystawał z lornetką i nie filował. Inne łajby unosiły się dużo dalej. Jednak odruchowo założył rzucone obok szorty.

Obejrzał poczerniały korek, zdrapując paznokciem warstwę szlamu. Wywnioskował, że poradzi sobie przy pomocy kuchennego korkociągu i w tym celu zbiegł po schodkach pod pokład. Obdarzona seksapilem Francuzka, od której pożyczył jacht, utrzymywała na nim pedantyczny porządek. Był zdumiony, że zawierała mu na słowo tej klasy pływające cacko, ale wziął to na karb swej zbijającej z nóg męskiej urody. Był zabójczym przystojniakiem i szybko wpadał w oczy kobietom. Pozostawiła mu gratis jacht do wieczora, tłumacząc, że ma coś pilnego do załatwienia w głębi wyspy, więc nie wahał się ani chwili. Miała odlecieć śmigłowcem.

Korkociąg z łatwością wgryzł się w korek, gorzej jednak było z jego wyciągnięciem. Trochę się uszarpał, ale heroicznie postanowił, że się nie podda.

— Co za szajs — mruknął zawzięcie. — Cholera, rozpieprzę to diabełstwo — warknął podniecony.

Niebiosa mu sprzyjały. Przy kolejnym mocnym szarpnięciu korek jakimś cudem wysunął się do połowy i chłopak się domyślił, że w rozkołysanym antałku podniosło się ciśnienie. W kilka chwil później zatyczka sama wystrzeliła z hukiem jak z butelki szampana, poleciała szerokim łukiem i wpadła do wody.

— Ufff! Gotowe! — wycedził z miną zwycięzcy. Nie znośli, gdy martwe rzeczy stawiały mu opór. Przysiadł na pokładzie i otarł ręką pot z czoła. Potem skupił całą uwagę na zdobyczy.

Z otworu wydobywał się delikatny opar i chłopak przeraził się, że to ulatnia się gaz trujący. Może znalezisko pochodziło z czasów drugiej wojny światowej? Pociągnął nosem, ale niczego nie poczuł, żadnych oznak fabrycznych wyziewów lub zgnilizny. Wykoncypował, że powinien butlę przechylić, lecz nie zdążył się do tego zabrać. Ni stąd ni zowąd bowiem głośno huknęło i z ciemnozielonego

antałka poszedł ostro w górę gęsty strumień smolistego dymu.

— O, w mordę, tylko nie to... — wybelkotał, nie na żarty przeżany i odruchowo odsunął się od gąsiora. Pojął, że niezdrowa ciekawość okazała się pierwszym krokiem do piekła.

Demoniczny dym wydawał się żyć własnym organicznym życiem. Nieustępliwie powracał na pokład, nie poddając się podmuchom pasatu, ani nie rozplywając się w powietrzu. Rozkładał się po deskach jachtu, skupiając się w wybranych miejscach. Wkrótce też zarysowały się tam blade kształty czterech absurdalnych postaci. Te przypominały najpierw lekką, drżącą mgiełkę, lecz potem nabrały wyrazistości i barw. A tracąc pierwotną przeźroczystość, coraz bardziej się urealniali i ziszczały.

Struchlały Andres cofnął się jeszcze bardziej, nadziejąc się na barierkę. Wybałuszył przerażone oczy. Dalej nie mógł uciec. Żałował, że nie miał na sobie sprzętu do nurkowania, bo dałby dyla do wody.

— Tupapau — szepnął z nabożnym lękiem. Znalazł się w straszliwym potrzasku i nie mógł przeboleć, że głupkowato wydobyl butlę z morza. Gościł na Tahiti, a tu w starych bogów jeszcze wszyscy wierzyli. Dusze umarłych były uwięzione w kamiennych głazach i nie należało ich lekkomyślnie uwalniać. Licho nie spało. W nocy w większości tahitańskich domów błyskało światelko, które je ponoć skutecznie odstraszało.

Ucieleśniony demon, który usytuował się najbliżej chłopaka, poruszył się, dowodząc, że nie zamierza być postacią z gabinetu figur woskowych i obrzucił młokosa mało życzliwym taksującym spojrzeniem. Przypadła mu w udziale postać faceta po trzydziestce. Prezentował się zadziwiająco współcześnie — w przeciwieństwie do pozostałych zjaw. Młoda kobieta paradowała w stroju z epoki francuskiego baroku i wydawać by się mogło, że diabelskie moce przygnały ją gdzieś z siedemnastego wieku. Ci, stojący na rufie, kójarzyli się natomiast z odległą starożytnością. Andres w Barcelonie studiował historię sztuki i przeszło mu raptem przez głowę, że tak zwariowanej tahitańskiej sceny nawet osławiony Paul Gauguin by nie namalował. Czy to, co widział, naprawdę się działo? Nogi pod nim zmiękły i stoczył się lękliwie po schodkach na dół. Przeszyła go

trwożna myśl, że butla zawierała środki halucynogenne. Może ukryto w niej narkotyki? A może natrafił na zatopioną broń chemiczną? Wylądował w kuchence, trzęsącą się ręką odkładając korkociąg. W rozbiegane oczy wpadła mu wisząca przy schodkach raca sygnalizacyjna. Złapał ją bez namysłu i w te pędy wyskoczył na pokład. Wycelował i wypalił.

Opartą o barierkę młodą kobietę wygięło nagle do tyłu — jednak nie wypadła za burtę, a odkształcone pod wpływem strzału ciało prawie natychmiast odzyskało utracone kształty. Czy miała kręgosłup z gumy? Wyprostowała się, złowrogo zwracając się w jego stronę. Spalił jej przód gorsetu i stanika.

— Do diabła! — jęknął, czując, że za chwilę narobi w gacie. Przeholował, ale było za późno, żeby to zmienić.

Wiedźma z ciemnej butli rozjuszyła się jak byk na corridzie i wściekła się do ostatnich granic.

— Ty dupku! — zjadliwie warknęła, a z jej złych jarzących się czerwonym światłem oczu trysnął strumień gorącej plazmy. Cztery świszczące pociski niby ogary dopadły jego rąk i nóg, z ogromną siłą przyszpilając go do nadbudówki.

— Jest tu radio?!

Obcy, który go o to zapytał, nic sobie nie robił z tej potyczki. Wydawała mu się pewnie co najwyżej warta przypadkowego ziewnięcia. Ot, śmiertelnik podskoczył jednemu z bogów Olimpu! Beznamiętnie spoglądał na ukrzyżowanego chłopaka, z rękami w kieszeniach czekając na odpowiedź.

— Jest... — Andresowi przeszło to z trudem przez gardło. — Na dole... — wycharczał, a oczy omal nie wyszły mu z orbit.

Współcześnie odziany dżin skrył się bez pośpiechu pod pokładem jachtu, leniwie pogwizdując pod nosem. Dwaj przybysze ze starożytności ulokowali się na dziobie, zajęci cichą rozmową. Tylko barokowa wiedźma pozostała przy uwięzionym chłopaku, przyglądając mu się z niegasnącą uwagą. W jej ciemnych oczach pojawiły się dziwne erotyczne błyski. „Boże, tylko nie to!” — jęknął w duchu z prawdziwą rozpaczą. Spłoszyła go myśl, że tamta nabrała chorobliwej ochoty, żeby zgnieść go w namiętnych uściskach i wyssać z jękiem rozkoszy, a krwawe szczątki wyrzucić za burtę.

— Nie jest... pani... ranna? — przemógł się, asekurując się ostrożnym pytaniem. Liczył na to, że znajdzie się w odrobinę lepszym położeniu. Z wyposażonymi w nadprzyrodzone moce niby-terrorystami nie należało zadzierać. O dziwo, obcy rozumieli angielski i posługiwali się nim tak, jakby faktycznie mieli więcej wspólnego z realnym światem niż z powieściami *science fiction* lub *fantasy*. A to się nie mieściło w głowie.

Chyba złość jej przeszła, bowiem łagodnie uśmiechnęła się do niego i dotknęła jego czoła delikatną ludzką dłonią. Drgnął z przestraszeniem, ale nic złego się nie stało. Poczł, że przez jego ciało przepływa strumień ciepła, a pod jego wpływem natychmiast odprężył się i uspokoił. Więzy nagle puściły.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała. — I tobie nic się nie stanie, jeżeli nie będziesz nam wchodzić w drogę. Nie zachowuj się, młodzianie, irracjonalnie. To nie jest to, o czym myślisz.

Przysiadł, masując sobie nadgarstki. Niczego nie rozumiał, ale wiedział, że nie należy podejmować żadnych pochopnych działań. Przekonał się przecież na własnej skórze, że w starciu z obcymi nie ma szans. Obejrzała go jeszcze raz tak, jakby chciała mu przypiąć szpadę i założyć na głowę kapelusz z pękiem strusich piór, a potem dała mu spokój.

Zaczęła się ciekawie rozglądać. Z zainteresowaniem przystawała przed wszystkim, co znajdowało się na pokładzie, z uwagą studiując kształty każdej części ekwipunku i zachowując się tak, jakby to wszystko widziała po raz pierwszy w życiu. A może faktycznie tak było? Wreszcie zatrzymała się jak wryta przy kole ratunkowym. Ujęła je w ręce i ze wzburzeniem odczytywała wymalowaną na nim nazwę jachtu. Jej brwi powędrowały wysoko.

— Sylvie? Cóż dziwnego w imieniu Sylvie? — niedomyślnie szepnął Andres.

Tamta wkurzyła się tak, jakby znowu wypalił do niej z rakietnicy. Aż podskoczył z wrażenia. Jej krzyk poderwał trzech mężczyzn, którzy bezzwłocznie do niej podbiegli. Niepohamowana wymiana zdań w niezemskim języku trwała dobrą minutę, a może dwie. Wreszcie obcy ucichli.

Egipcjanin i ten drugi, kojarzący się z Helladą lub Rzymem,

zasiedli znowu po turecku na deskach. Przestały już bawić madonnę szczegóły pokładu i nadbudówki, więc z kolei zajęła się tym, co działo się na morzu. Pogoda była jak wymaluj, zaś przejrzystego błękitu nie plamiły żadne obłoki. Wsparta o barierkę, przyglądała się z zachwytem motorówce, która z jazgotem pruć fale, rwąc w stronę basenu portowego w Papeete.

— Mów mi: Yves — mężczyzna, który spędził kilka chwil pod pokładem, wyciągnął dłoń w stronę chłopaka. Uścisk miał przyjacielski i mocny. — A ty? Jak masz na imię?

Andres z rezygnacją się przedstawił. Powiedział, co robi i skąd przyплыł. Pozwolił się przeświecić, bo nie widział powodu, by cokolwiek ukrywać przed obcymi. Zresztą, nie miał niczego do ukrycia.

— A ta łajba, na której się znaleźliśmy? Jest twoja?

Ani chwili nie wahał się nad odpowiedzią. Wyobraził sobie, że wbijają mu bambusowe drzazgi pod paznokcie i odeszła go ochota na anse. Bezpieczniej było nie podskakiwać i okazać gotowość do współpracy.

— Nie moja — usprawiedliwił się w te pędy. — Właścicielkę łodzi spotkałem przed dwoma dniami. To Francuzka — starał się, by to, co mówił, brzmiało przekonująco. — Stwarzała wrażenie babki przy kasie i wyglądała na taką, która może sobie na wszystko pozwolić. Przypadkowa znajomość — wzruszył wzgardliwie ramionami. — W przypływie dobrego humoru pożyczyła mi tę skorupę. Wieczorem mam ją oddać — zaznaczył z ponurą miną.

Yves był zadowolony z tej odpowiedzi. Chłopak nie kłamał. Kiwnął głową z uznaniem i poprosił, żeby mu Andres dokładnie opisał ową bogatą nieznajomą. Włosy, kolor oczu, wzrost i tym podobne. Kiedy student i z tym się uporał, neogeneranin skrył się znowu pod pokładem, wynurzając się stamtąd z telefonem komórkowym w ręku.

— Czy przy pomocy tego maleństwa — pokazał na aparat — mogę się z nią skontaktować?

Chłopak był rozgarnięty i znał numer do hotelu, w którym zatrzymała się seksowna Francuzka. Może z cicha liczył na to, że spędzi z nią upojną noc? Wygrzebał pobrudzony kartelusik z tylnej kie-

szeni szortów. Wystukał szereg cyfr i podał obcemu komórkę.

Trzymający telefon przy uchu Yves zapytał go jeszcze z głupiafrant:

— A, jeszcze chodzi o... Jeśli się nie mylę, dziś mamy siedemnastego czerwca 1998 roku?

Andres nie mógł zaprzeczyć, gdyż data się zgadzała. Wszystko: dzień, miesiąc, rok. Przeszył go nagle zimny dreszcz. Skupił myśli i wywnioskował, że ta przecząca prawom natury zwariowana czwórka, która dziwnym trafiła na jego jacht, chyba jak jakaś zaraza przywlokła się z kosmosu. Może na dnie Pacyfiku niepostrzeżenie ulokowała się wrogo nastawiona cywilizacja, zamierzająca zetrzeć gatunek ludzki z powierzchni ziemi?

Odchrząknął i lękliwie zapytał:

— Czy jesteście... ludźmi?

— I tak, i nie. Zresztą jakie to ma znaczenie — usłyszał oschłą, wymijającą odpowiedź.

W Papeete, w hotelu, recepcjonista odebrał telefon, łącząc rozmówcę ze wskazanym apartamentem. Yves zaczął po francusku dobierać się do skóry właścicielce łodzi, która wcale nie odleciała śmigłowcem w głąb wyspy. Z początku był chłodny i co rusz się czemuś dziwił, potem zaś już nie szczędził jej topornych uwag, a wreszcie soczystych przekleństw. Gdy rozmowa się urwała, Erw półgłosem podzielił się z pozostałymi derwiszami tym, czego się dowiedział. A kiedy i to miał już za sobą, znowu przykleił się do młokosa. Obejrzał go sobie jeszcze raz od stóp do głów, a następnie kazał mu włączyć silnik i skierować jacht ku portowi.

W pół godziny później po dziwnym wyglądzie obcych nie zostało śladu. Pewna siebie Festa buszowała pod pokładem i w rzeczach Sylvie znalazła coś odpowiedniego dla siebie. Założyła krótką spódniczkę, sandały i podkreślający jej kształty obcisły podkoszulek. Dla pozostałych też coś wybrała. Bez żenady przekopała dzinsową torbę podróżną Andresa, pożyczając od niego bez pytania dwie pary kolorowych szortów i bawełniane bluzy. Gdy wyszła na górę, poczuła się zakłopotana. W Paryżu Ludwika XIII nie wolno by jej było tak pokazać się na ulicy.

Wszyscy faceci, łącznie z młodziutkim Andresem, zamarli